



W OBRONIE PRAWDY O ŻYCIU

Wywiad z profesorem Janet E. Smith¹

Janet E. Smith to emerytowana profesor Wyższego Seminarium Duchownego Najświętszego Serca Pana Jezusa w Detroit USA. Kierowała Katedrą Etyki Życia im. ks. Michaela J. McGivneya.

Przez trzy kadencje była konsultorem Papieskiej Rady ds. Rodziny. Była też przez osiem lat członkiem Międzynarodowej Komisji Anglikańsko-Katolickiej III. Otrzymała trzy doktoraty *honoris causa* oraz kilka innych nagród za osiągnięcia naukowe i swoją postugę. Regularnie publikuje w „Crisis Magazine” i „National Catholic Register”. Występowała w programach: Geraldo, Fox Morning News, CNN International, CNN Newsroom, Al Jazeera i w wielu programach realizowanych przez EWTN.

Wielokrotnie pisała i przemawiała na temat nauczania moralnego Kościoła, zwłaszcza w obszarze seksualności. Rozprowadzono ponad dwa miliony egzemplarzy jej przemówienia „Antykoncepcja: dlaczego nie”. Jej materiały można znaleźć na stronie janetsmith.org. Jest autorką książek takich, jak: *Humanae vitae: Pokolenie później*, *Prawo do prywatności*, *Dar z samego siebie* (zbiór wcześniej opublikowanych esejów na temat *Humanae vitae* i myśli Jana Pawła II).

Zbigniew Przybyłowski: Na początek chciałbym poprosić Panią o opowiedzenie o swojej drodze, o tym, z jakiej rodziny Pani pochodzi, jaka była Pana droga życiowa i jak się zostaje znanym teologiem moralnym?

Janet Smith: To sprawił Bóg, nie ja. Dorastałam w typowej katolickiej rodzinie, chodziliśmy zawsze na mszę św. w niedzielę. Ale nic poza tym. Nigdy nie odmawialiśmy wspólnie różańca, nie mieliśmy niedzielnej modlitwy dziękczynnej przy posiłku. Nigdy nie chodziłem do katolickich szkół. Byłam w świeckich szkołach przez cały okres edukacji. Wiem, że to może szokować publiczność, ale nigdy nie ukończyłam studiów teologicznych, nie mówiąc już o studiach w zakresie teologii moralnej. Studiowałam języki klasyczne, łacinę i grekę, które moim zdaniem świetnie przygotowują do zajmowania się niemal wszystkim. I to właśnie robię.

¹ Tłumaczenie przygotowane przez Annę Lubowicką we współpracy z Piotrem Bednarskim.

Początkowo myślałam, że będę uczyć. Zrobiłam doktorat z łaciny i greki. Na uniwersytecie Notre-Dame prowadziłam wykłady dla studentów w ramach cyklu „Program arcydzieł literatury”. Ze względu na moją obronę encykliki *Humanae vitae* odmówiono mi etatu wykładowcy na Uniwersytecie Notre-Dame. Następnie zostałam zatrudniona na Uniwersytecie w Dallas na Wydziale Filozofii, gdzie wykładałam filozofię przez 12 lat. Kolejnym krokiem było zaproszenie mnie przez arcybiskupa Vignaron do przyjęcia posady wykładowcy w seminarium w Detroit. Sądziłam, że zostałam zatrudniona, by uczyć filozofii, lecz jak się okazało, była to posada wykładowcy teologii moralnej.

Duch Święty stworzył dla mnie program nauczania na całe życie, tak, bym nie przestawała uczyć się nowych rzeczy. Myślę, że moje wykształcenie w zakresie języków klasycznych było niezwykle pomocne, ponieważ zapewniało mi wgląd w to, jak używa się słów i pojęć. Duża część katolickiej teologii moralnej opiera się na myśli Tomasza z Akwinu, który w dużej mierze odwoływał się do Arystotelesa. Obaj byli dla mnie bardzo ważni. Byłam prawdziwą fanką Platona i Arystotelesa.

Co do wyborów osobistych to w ciekawy sposób zaangażowałam się w działalność pro-life. Kiedy byłam w Kanadzie na studiach magisterskich na Uniwersytecie w Toronto, występowałam w szkołach średnich z prelekcjami antyaborcyjnymi. Brałam udział w akcjach towarzyszenia kobietom udającym się do klinik aborcyjnych. Prowadziłam grupę pro-life na uniwersytecie. Stopniowo zaczęłam zdawać sobie sprawę, że antykoncepcja była głównym czynnikiem przyczyniającym się do aborcji. Gdy byłam na Uniwersytecie Notre-Dame jeszcze bardziej zaangażowałam się w towarzyszenie kobietom wchodzącym do klinik aborcyjnych. Zastanawiałam się, jak te kobiety się tam znalazły. I zdałam sobie sprawę, że było to skutkiem uprawiania seksu z mężczyzną, z którym nie miały zamiaru mieć dziecka. Wówczas stało się dla mnie jasne, że aborcja była ich odpowiedzią na tak zwaną problematyczną ciążę.

Przestudiowałam również bardzo dokładnie *Humanae vitae*. Kiedy byłam studentką w Toronto, z wieloma moimi głęboko wierzącymi katolickimi przyjaciółmi pochylaliśmy się nad tym tekstem słowo po słowie. Przekonałam się, że to prawda. Obserwowałam wielu moich przyjaciół, którzy się pobraли. W małżeństwach, które stosowały antykoncepcję, pojawiało się pewne napięcie, które mnie niepokoiły. Natomiast ci, którzy byli wierni nauczaniu Kościoła, znajdowali pewną łatwość i zaufanie w swoim związku, którego nie widziałam u innych.

A zatem wiele moich osobistych odkryć sprawiło, że zaczęłam sobie uświadamiać, że nauczanie Kościoła na temat antykoncepcji jest kluczowe dla szczęścia człowieka. Zaczęłam o tym mówić, będąc na Notre-Dame. Prowadziłam także zajęcia na ten temat. I pogłębiałam coraz bardziej moją wiedzę na ten temat. W tym czasie bardzo niewiele osób prezentowało katolickie podejście do antykoncepcji.

Wyrośłam więc na eksperta, bo nie miałam dużej konkurencji. Ludziom podobało się to, co mówiłam. Moje podejście do tematu można usłyszeć w moim programie: Dlaczego nie dla antykoncepcji?, który ostatnio znów stał się dostępny w internecie. Później zaczęłam się kierować ku innym tematom takim, jak: homoseksualizm, transgenderyzm, sumienie i problemy bioetyczne. Dużo publikuję, napisałam książkę na temat *Humanae vitae*, która została doceniona.

Zyskałam uznanie jako teolog moralny. W czasach wielkiego odstępstwa od nauczania Kościoła brak ukończenia teologicznego wykształcenia może być wielką zaletą. Mogłam przecież zostać wykształcona w duchu odrzucenia nauczania Kościoła zamiast wierności jemu. Wykładałam na Uniwersytecie Notre-Dame, który był przesiąknięty nieprawowiernym nauczaniem. Ale było tam też trochę prawowiernych, wspaniałych katolików, zwłaszcza na Wydziale Filozofii. Jednym z nich był sławny Ralph McInerny, który stał się moim mentorem i bliskim współpracownikiem. W ten nieformalny sposób bardzo wiele nauczyłam się od najlepszych, którzy byli moimi przewodnikami. I tak to przebiegało.

ZP: Czy miała Pani pewien konkretny moment przełomowy w przyjęciu *Humanae vitae*, czy był to stopniowy proces przyjmowania zawartego tam nauczania?

JS: Był taki czas w moim życiu. To był 1976 rok, kiedy Kościół był po prostu zdominowany przez poglądy niezgodne z jego nauczaniem. Ale to właśnie wtedy, byłam wówczas już na studiach, spotkałam wielu młodych katolików, którzy powrócili do swojej wiary lub odkryli ją po raz pierwszy. I stali się bardzo gorliwymi katolikami. Chcieliśmy być katolikami na 100 procent.

Uważaliśmy się za młodych intelektualistów i chcieliśmy być w stanie bronić nauczania Kościoła. To dlatego postanowiliśmy przeczytać dokładnie *Humanae vitae*. Czytaliśmy także dokumenty Soboru Watykańskiego II oraz pisma św. Tomasza z Akwinu. To wszystko były takie doraźne grupy.

To nie była praca domowa na zajęcia uniwersyteckie. Czytaliśmy w naszych grupkach Biblię i stworzyliśmy cztery grupy pro-life. W sumie było nas około czterdziestu lub pięćdziesięciu osób.

Czytając *Humanae vitae* stało się dla nas jasne, że jest to nauczanie oparte na logicznym rozumowaniu i bardzo pięknej wizji seksualności i małżeństwa. W tym przekonaniu utwierdziło mnie obserwowanie moich przyjaciół wchodzących w małżeństwa. Kiedy pracowałam na Uniwersytecie Notre-Dame wraz z etatem wykładowcy oczekiwano ode mnie napisania książki. Pewien znajomy namawiał mnie, żebym pisała na temat *Humanae vitae*, skoro tak lubię tę encyklikę to powinnam pisać właśnie o niej.

Nie wiedziałam, czy to dobry pomysł, skoro nie mam wykształcenia w zakresie teologii moralnej, ale zajęłam się ponownym tłumaczeniem tej encykliki na angielski, bo uważałam, że istniejące tłumaczenie wymagało poprawek. Przewertowałam jakieś sto czterdzieści przypisów, jakie w niej są i już samo to pozwoliło mi bardzo się doksztąpić. Zobaczyłam, jak bieżące nauczanie Kościoła było zanurzone w całym jego historycznym nauczaniu. Czytałam też oczywiście argumenty tych, którzy odeszli od nauczania Kościoła, by zrozumieć tego przyczyny. W końcu napisałam książkę i tym się naraziłam.

ZP: Chciałbym nawiązać do tego, co Pani mówiła o czasach studenckich i powrocie do katolicyzmu. Pani doświadczenia z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych są zupełnie inne niż te, o których zazwyczaj słyszałam, a które dotyczyły utraty wiary, odejścia od religii na znaczną część życia. Czym różniła się Pani sytuacja? Skąd ten powrót do wiary?

JS: Duch Święty chwycił mnie za kark i wróciłam. Kiedy szłam na uniwersytet, odeszłam z Kościoła na kilka lat. Nie miałam żadnego szczególnego powodu. Po prostu chciałam odciąć się od przeszłości i zacząć wszystko od nowa. A pójście na studia to czas przemyślenia swojego życia. Chodziłam do dosyć radykalnej, choć szanowanej w świecie akademickim uczelni Grinnell College w stanie Iowa. Sama miałam radykalne poglądy przez jakieś półtora roku.

W 1969 roku na naszą uczelnię przyszły kobiety, które chciały liberalizacji prawa do aborcji w Stanach Zjednoczonych. Miałam 19 lat i prawdę mówiąc ciężko w to uwierzyć, ale wówczas nigdy nie słyszałam jeszcze o aborcji. Do tego stopnia byłam naiwna w 1969 roku. Poszłam więc do biblioteki w drodze na spotkanie dotyczące podpisywania petycji za legalizacją aborcji. Wiele

czytałam na ten temat i nie mogłam uwierzyć, że te kobiety chciały zabijać dzieci, które już się poczęły.

Czytając, dowiedziałam się, że Kościół katolicki od początku był przeciwny aborcji. Kluczowe pytanie, które należało postawić, dotyczyło tego, od którego momentu rozpoczyna się życie człowieka. Poszłam więc kolejny raz na spotkanie i wyglądałam tam jak wszyscy pozostali, czyli trochę liberalnie, podobnie do Johna Lennona. Na spotkaniu podniosłam rękę i powiedziałam, że jestem gotowa podpisać tą petycję, ale najpierw chcę wiedzieć, czego dotyczy. Który moment uznajemy za początek życia człowieka? Ludzie na spotkaniu byli wściekli. Powiedzieli mi, że mam się zamknąć i siadać, nie potrzebują tu takich jak ja.

Zastanawiałam się, o co w tym chodzi. Przecież ja jestem zwykłą studentką pierwszego roku. Nie rozumiałam, o co im chodzi. Później zaczęłam wdawać się w dyskusje, ludzie pytali mnie: Dlaczego jesteś przeciw aborcji? A ja mówiłam: Nie wiem, czy jestem przeciwna, ale wiem, że wszystko zależy od tego, który moment uznamy za początek życia. Do tego doszedł temat kontroli liczebności populacji czy deformacji (płodów) i tak dalej. Argumenty pro-life były dla mnie bardzo przekonujące.

Któregoś razu szłam przez kampus i pomyślałam sobie: skoro Kościół katolicki ma rację w kwestii aborcji, to może ma rację również w innych kwestiach. Zaczęłam więc ponownie analizować moją wiarę i okazało się, że nie ma bardziej trafnych odpowiedzi niż te, które proponował mi Kościół. Przez kilka lat byłam dosyć samotna, nie miałam przyjaciół, którzy podzielaliby moje poglądy.

Kiedy poszłam na studia magisterskie w Toronto, poznałam wspaniałych ludzi, z którymi wzajemnie się wspieraliśmy i rozwijaliśmy. Dużo razem czytaliśmy, chodziliśmy na spotkania, które promowały kapłaństwo kobiet i podnosiliśmy argumenty przeciwne. Stawaliśmy się coraz odważniejsi, mieliśmy coraz lepsze przygotowanie do dyskusji na te tematy. Ludzie byli zaskoczeni, mówili: jesteście naprawdę mądrymi ludźmi, na dobrej uczelni. Jak możecie tak myśleć? Byli naprawdę w szoku, gdy zaczynali z nami dyskusję i okazywało się, że jesteśmy w stanie obronić to, czego uczył Kościół, który kochamy.

ZP: Wygląda na to, że to oddanie, czy wręcz zamiłowanie do prawdy przyprowadziło Panią z powrotem do Kościoła. Wspomniała Pani o kilku liniach sporu, wokół których toczyła Pani dyskusje, a wśród nich o ochrona życia i praw dzieci nienarodzonych. Czy może nam Pani powiedzieć więcej o tych „bitwach” i o tym, jakich kwestii przyszło Pani bronić w dyskusjach?

JS: Odpowiadając na to pytanie, muszę też opowiedzieć o pewnym wykładowcy, który był niczym drugi Sokrates. Jego zajęcia były prowadzone metodą sokratejską. Chodziłam do niego na zajęcia z tragedii greckiej, podczas których czytaliśmy tragedię o Medei i Jazonie. Medea to kobieta, która z powodu zdrady swego męża Jazona poćwiartowała ich wspólne dzieci, usmażyła je w oleju i podała Jazonowi do zjedzenia.

Rozmawialiśmy z wykładowcą o poczuciu nadchodzącej zagłady. O tym, że bogowie będą niezadowoleni i stanie się coś tragicznego z powodu czynów Medei. Profesor pytał nas, czy takie podejście do świata jest właściwe. Czy złe uczynki zasługują na wielki gniew bogów?

My podchodziliśmy do tego bardzo subiektywnie. Nie chcieliśmy przyznać, że któreś podejście należy uznać za złe lub dobre. Profesor udawał wówczas zszokowanego i kontynuował: naprawdę nie uważacie, że obiektywnie złe jest ćwiartowanie swoich dzieci, smażenie ich i podawanie do zjedzenia ojcu? My tłumaczyliśmy to inną epoką, innymi zwyczajami. To było niesamowite doświadczenie. Siedziałam tam i słuchałam, jak inni studenci mówili, że nie możemy być pewni, czy jest jakieś zło i dobro. Wtedy profesor zapytał, czy możemy być pewni czegokolwiek? Pewien student stwierdził, że nie, że nie możemy być pewni. Wykładowca odpowiedział: czy jesteś pewny tego, że nie możemy mieć pewności co do czegokolwiek? Nie, nie jestem – padła odpowiedź. Profesor pytał dalej: Dlaczego miałbym rozmawiać z kimś, kto nie wie, czy istnieje cokolwiek pewnego? Jesteś pewien tego, że istniejesz? Student odpowiedział: nie, nie mam pewności. Wtedy wykładowca skwitował: Nie wiem, czy powinienem rozmawiać z kimś, kto nie jest nawet pewny, czy istnieje.

Na tym wykładzie padło jeszcze jedno pytanie: Czy w tej sali znajduje się 40 różowych słoni? Ten student ponownie odpowiedział, że nie ma co do tego pewności. Przysłuchiwałam się temu i ja, studentka drugiego roku, podniosłam rękę i powiedziałam: jestem całkowicie pewna, że nie ma w tej sali 40 różowych słoni. W ten sposób skonfrontował nas obiektywną prawdą, z tym, że coś jest albo złe, albo dobre. Ten profesor nie był jakimś zagorzałym fanem Kościoła katolickiego. Wielu młodych ludzi, którzy przeszli przez jego zajęcia nawróciło się na katolicyzm. Te młode umysły zadawały sobie pytanie, jeśli jest obiektywna prawda, to jaka instytucja na ziemi broni obiektywnej prawdy. To Kościół katolicki.

To był ważny moment w historii mojego powrotu do Kościoła. Bardzo mnie te wykłady umocniły i od tamtego czasu lubiłam stawać w obronie prawdy. Wierzę, że mamy wrodzoną miłość do prawdy i umiejętność jej

rozpoznawania. Nie da się daleko zabrnąć w dyskusję bez stawiania pewnych twierdzeń o prawdzie. Na moją korzyść działa to, że jeśli nie ma żadnej prawdy, to jaki sens ma dyskutowanie, jaki jest cel bronięcia swoich poglądów, jeśli nie uważasz, że są one prawdziwe? Po co w ogóle zajmować się dyskutowaniem?

Angażowałam się w wiele dyskusji, duża część z nich dotyczyła antykoncepcji. Ostatnio debatowałam nad wspomnianym już tematem, czy wszystkie fałszywe twierdzenia są niemoralne. Czy nasza zgoda na użycie wypowiedzi fałszywej jest zawsze zła? To dla mnie zupełnie nowy temat, który sprawia mi wiele uciechy. Dużo też dyskutuję o eutanazji, homoseksualizmie, transgenderyzmie, kwestiach bioetyki, przeszczepianiu organów, adopcji porzuconych zarodków, zarodków stworzonych przez sztuczne zapłodnienie, a także o myśli Jana Pawła II, który był wybitnym moralnym teologiem. *Veritatis splendor* to jedna z ważniejszych encyklik w historii Kościoła. Jest wspaniała, jak z resztą większość jego encyklik.

Często powtarzam, że polski papież był jak Tomasz z Akwinu. To znaczy zostawił nam tyle pism, że zagłębienie się w nie wszystkie zajęłoby ludziom cały wiek i byłby to piękny czas. To niesamowite jak papież kładł nacisk na osobę i czyn, i osobowe przyjęcie prawdy.

Napisałam na ten temat ważny artykuł dotyczący nieredukowalności podmiotowości człowieka, co oznacza absolutną wartość każdej osoby, a także akcentujący wielką wagę przyswojenia prawdy przez każdego człowieka osobiście. Nie chodzi o to, że jest coś złego w posłuszeństwie motywowanym tym, że tak mówi nam Bóg. Ale Jan Paweł II pisał, że nasza prawdziwa godność przejawia się w umiejętności zgodzenia się z Bogiem, że coś jest złe. „Nie zrobię tego, bo Ty, Boże nie zgadzasz się na to, a ja Cię kocham i wiem, że jesteś źródłem Prawdy i chcę robić tylko to, co jest z nią zgodne”. A poza tym: „Jestem stworzony na obraz i podobieństwo Boga i potrafię rozpoznać, że to jest prawda i ona jest zgodna z moją godnością, a ja nie chcę robić niczego poniżej mojej godności, bo to największy dar jaki mam od Boga”.

Myślę, że to nie jest tak, że ta prawda nie jest obecna u św. Tomasza i innych. Ale Jan Paweł II wydobył ją w taki sposób, że pozwala zobaczyć odpowiedzi na wiele współczesnych problemów filozoficznych. To ogromny wkład w teologię moralną. Myślę, że jest jeszcze wiele tematów do opracowania na temat problemów współczesnego świata. Próbowałam podążać za myślą Jana Pawła II i pisać na niektóre bardzo kluczowe tematy, spójnie z myślą Tomasza z Akwinu. Mam na myśli tematy, które pozostały do głębszego rozwinięcia w duchu tego, co pisał św. Jan Paweł II i św. Tomasz, a których papież pisząc o tak wielu kwestiach, nie zdążył poruszyć.

ZP: Tak, to bardzo ciekawe. Domyślam się, sądząc po stanowiskach, które Pani zajmowała, że życie na uniwersytecie musiało być niełatwe i stawało się z roku na rok trudniejsze, szczególnie biorąc pod uwagę to, do czego dąży środowisko akademickie, z całą kulturą unieważniania i tłumieniem wolności słowa i wolności badań. Czy może nam Pani trochę opowiedzieć, jak wyglądały początki pracy akademickiej w porównaniu z obecną sytuacją? Jak trudno pracowało się Pani przez 9 lat na uczelni Notre-Dame? Jak wyglądały kolejne doświadczenia, które zakładałam, że były w znacznie bardziej przyjaznym środowisku?

JS: Uniwersytet Notre-Dame był dla mnie trochę zaskoczeniem. Byłam dość młoda i nie znałam w pełni zakresu polemiki i skali odstępstw od nauczania Kościoła. W swojej naiwności wierzyłam, że skoro idę na katolicki uniwersytet, to katolickie poglądy będą tam bardzo cenione. Na miejscu zdałam sobie sprawę, że na katolickiej uczelni wygląda to tak jak w większości innych uczelni, gdzie z większą przychylnością spotykają się ci, którzy odchodzą od nauczania Kościoła niż ci, którzy wiary bronią. I ci spotykają się z wrogością.

Jak już wspomniałam, na Uniwersytecie Notre-Dame miałam wielki przywilej przyjaźnić się z Ralphem McInernym, który całe swoje życie pięknie bronił nauki Kościoła w sposób bardzo dżentelmeński, ale i wytrwały. Poznałam tam również profesora Alfreda Freddoso, który stał się bliskim przyjacielem Charliego Rice'a. Jestem pewna, że zapomniałam o kilku innych ważnych osobach, ale chcę powiedzieć przez to, że było tam kilku bardzo dobrych ludzi, którzy naprawdę mnie wspierali w przeciwieństwie do administracji. Nie pracowałam na wydziale teologicznym, ale wydział teologiczny był mi bardzo przeciwny, ponieważ broniłam nauczania Kościoła na temat antykoncepcji i w końcu nie dostałam tam etatu.

Przez większość mojego życia walczyłam. Uwielbiam bronić prawdy. Myślę, że jest to coś wrodzonego u ludzi. Kiedy słyszą o niej, są tak niesamowicie wdzięczni i mówią, że nigdy przedtem nie słyszeli tego. I słysząc o prawdzie, nagle świat ma dla nich sens. Uwielbiam dawać ludziom to poczucie, że mają umysł, że mają intelekt, że te prawdy nie są im narzucone, a wręcz są dla nich dobre. Dzięki temu mogą rozpoznać, że Bóg nie jest wrednym wydawcą poleceń, który próbuje ustanowić prawa, które czynią nas nieszczęśliwymi. Ale wręcz przeciwnie to są witaminy, to są rzeczy, które czynią nas zdrowymi i szczęśliwymi. Być może czasami sprawi nam to jakieś nieszczęście, ale wówczas to szczęście w nieszczęściu, bo polega na bronienu prawdy, a ten powód bycia nieszczęśliwym nie jest taki zły.

A zatem nie dostałam etatu. To było dla mnie trudne, wręcz druzgocące, bo oczywiście kochałam to miejsce, miałam tam dobrych przyjaciół, uwielbiałam program nauczania. Miałam też ogromny szacunek dla Uniwersytetu w Dallas. Ma on świetny program nauczania, opiera się na podstawowych prawdach zachodniego świata, dla których oczywiście wydział filozofii jest niejako kotwicą. Uczelnia w Dallas była dużo bardziej wierna wartościom, co nie znaczy, że w 100%. Niektóre z moich poglądów były bardzo niemile widziane, ale nie przez administrację, lecz przez niemałą część wydziału. Jednak w wielu aspektach było to bardzo przyjazne miejsce i kochałam je. Potem dostałam zaproszenie, by wykładać w seminarium i, choć nigdy nie było to coś, czego bym pragnęła, to cieszę się, że tam trafiłam.

Ksiądz biskup poprosił mnie o to, a wówczas podchodziłam do tego tak, że pójdę tam, gdzie biskup mnie pośle. Tak też zrobiłam. To doświadczenie było bardzo dobre dla mnie, dla pogłębienia mojej modlitwy i dla lepszego poznania innych obszarów teologii poza seksualnością. Gdy patrzyłam na młodych seminarzystów, którzy są gotowi oddać swoje życie Kościołowi, zaczęłam zadawać sobie pytanie, czy i jak ja to robię. W końcu około 10 lat temu zostałam dziewicą konsekrowaną, jest to świeckie powołanie dla kobiet, które składają śluby podobne do księży, co było dla mnie wspaniałym doświadczeniem.

Te śluby przemieniły moją psychikę i duchowość i były naprawdę niezwykłym przeżyciem. Ta podróż doprowadziła mnie do miejsca, w którym jestem dzisiaj. Seminarium jest miejscem, gdzie kształcą się młodzi ludzie, młodych mężczyzn, a w wielu zajęciach uczestniczą też kobiety. Uczy się ich, co mają myśleć. Ja zdecydowanie wolę uczyć ludzi, jak mają myśleć, więc staram się to częściowo robić w seminarium, choć oczywiście tu nie ma otwartości na nieortodoksyjne poglądy. Chodzi mi o to, że nie ma się na to wystarczająco dużo czasu. W teologii moralnej jest tyle tematów, które trzeba poruszyć. Uwielbiam uczyć takich tematów jak *Państwo* Platona z jego apologią lub o tragedii greckiej. Wtedy nie ma sztywnego programu poza próbą przekazania tego, że istnieje coś takiego jak obiektywna prawda, którą mogą zrozumieć. Cieszę się, że wykładam w seminarium, ale tęsknię też za nauczaniem na uniwersytecie.

ZP: Nawiązując do tego, co Pani mówiła, czy specjalizacja w dziedzinie seksualności człowieka była w Pani przypadku ścieżką do przyjęcia konsekracji. Czy zdobycie tak rozległej wiedzy o tej sferze życia i przybliżanie się do prawdy może doprowadzić nas do podjęcia tego rodzaju decyzji?

JS: To doskonałe pytanie i powinnam je zabrać ze sobą na jakieś rekolekcje w przyszłości. Nigdy nie zadawałam go sobie wcześniej. Zawsze myślałam, że zapierałam się rękami i nogami, zanim zostałam dziewczicą konsekrowaną. Doszłam do momentu w moim życiu duchowym, gdzie to powołanie stało się bardzo wyraźne, ale nie byłam taka chętna. Staram się jednak zawsze robić to, co powinnam, a było całkowicie jasne, że powinnam zostać dziewczicą konsekrowaną.

Wtedy wszystko się zmieniło: moja bliskość z Bogiem, moja wiara w to, że dam radę podjąć się bardziej kontrowersyjnych tematów. Obecnie pracuję nad nadużyciami seksualnymi w Kościele i mam styczność z wieloma ofiarami. Kościół ogarnął obecnie wielki zamęt. Wrócę na chwilę do wcześniejszego pytania. W latach siedemdziesiątych, osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych w Kościele panował wielki nieporządek. Wtedy właśnie pojawił się Katechizm i Jan Paweł II i byłam zachwycona, bo nie spodziewałam się, że dożyję czasów powrotu prawowierności w Kościele.

To wtedy ludzie, którzy w pełni wierzyli w nauczanie Kościoła, znów byli przyjmowani na największe uniwersytety, bo chciano zwiększyć różnorodność. Mieliśmy większe szanse, by otrzymać etat w wielu instytucjach. Seminaria były wówczas pełne ludzi, którzy nie byli w pełni wierni nauczaniu Kościoła, więc to że zatrudniono mnie w seminarium w Detroit wraz z wieloma innymi bardzo gorliwymi katolikami było naprawdę niespotykane w kontekście amerykańskich seminariów.

To były wielkie zmiany, ale niestety w czasach obecnego papieża niektóre zmiany cofnięto i wracamy do całego tego zagubienia z lat siedemdziesiątych, osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych i jeszcze większego. Nie spodziewałam się, że doczekam się takiego przestoju czy też odwrotu z tego dobrego kierunku zmian. Niepokoi mnie to, ale uważam, że moja konsekracja bardzo pomaga mi to przeżyć. Robię się coraz starsza, a gdy się starzejemy, pewne rzeczy denerwują nas jeszcze bardziej.

Świat się kończy, niebo spada nam na głowę. Jednak ja myślałam, że nie spadnie, bo podtrzymuje je Jan Paweł II i powrót do wierności Kościołowi. Teraz widzę, że naprawdę niebo może spaść nam na głowy i z pewnością byłabym zmartwiona, ale czuję, że Duch Święty ma nad tym kontrolę i wierzę, że zaprowadzi mnie tam, gdzie najbardziej mogę być użyteczna.

ZP: Pani Profesor, nie mogę się powstrzymać przed tym pytaniem: patrząc na Pani dorobek naukowy można by sądzić, że właśnie praca naukowa i wykładanie jest Pani powołaniem, czy zostanie dziewczicą konsekrowaną

to odkrycie nowego powołania czy może kontynuacja tego pierwszego? Ludzie, którzy szukają swego powołania, zazwyczaj znalazłszy je, pozostają mu wierni do końca życia. Czy to możliwe, że życie konsekrowane jest Pani innym, nowym powołaniem niż to pierwotne? Czy jest to po prostu poszerzenie wcześniejszego powołania. Ta kwestia interesuje mnie osobiście.

JS: To wspaniałe pytanie i myślę, że obie odpowiedzi są poprawne. To znaczy dziś nie jestem już tak chętna uczyć o etyce seksualnej, jak byłam wcześniej. W tamtym momencie życia to była moja pasja, a teraz w dużym stopniu jest nią Msza łacińska, którą odkrywam. Mam dwa duże regały wypełnione książkami na temat Mszy łacińskiej.

Dzisiaj, jeśli sięgam po książkę to najprawdopodobniej będzie ona na temat historii Kościoła w ostatnich wiekach. Ale w tym czasie wyszła na jaw cała afera kardynała McCarricka, ujawniono jego nadużycia seksualne i fakt, że kościelni hierarchowie wszystkich szczebli włączając te najwyższe, wiedzieli o tym i pozwolili na to. Zdawałam sobie sprawę z problemów z seksualnością w Kościele, ale myślałam, że były one znacznie mniejsze niż są.

Kiedy przechodziliśmy kryzys związany z nadużyciami seksualnymi duchownych we wczesnych latach dwutysięcznych i kiedy wydane zostały Wytoczne z Dallas, czyli „Karta Ochrony Dzieci i Młodzieży” myślałam, że to pojedyncze przypadki pedofilii i że uporamy się z nimi. Zdawałam sobie też sprawę, że jest duża liczba homoseksualnych mężczyzn w kapłaństwie, ale myślałam, że biskupi również to wiedzą i intensywnie pracują nad tym problemem. A kiedy pojawiła się sprawa McCarricka to byłam po prostu zdruzgotana. Nie mogłam uwierzyć, że biskupi byli do tego stopnia zamieszani w te nadużycia.

Zaczęłam więc o tym czytać. Mam cały regał książek na temat kryzysu związanego z nadużyciami seksualnymi. Napisałam kilka felietonów na ten temat i ludzie zaczęli się ze mną kontaktować. Byli to ludzie, którzy byli wykorzystywani lub księża, którzy próbowali ujawnić to zepsucie i to, jak byli okropnie traktowani przez biskupów i prosili mnie o radę. Nie wiem, co mogę im poradzić, ale na pewno mogę im okazać współczucie. Nie wiem, czy mam jakąś mądrość w tych dziedzinach, ale staram się ją zdobyć.

Pamiętam, że pewnego razu chodziłam po moim mieszkaniu, zastanawiając się, dlaczego to robię i nie był to głos od Boga, ale taka wewnętrzna rozmowa, którą się ze sobą prowadzi i która sprawiała wrażenie jakby sam Bóg mi mówił: trochę już zwolniłaś, tracisz zainteresowanie tym, co

pierwotnie dałem ci do zrobienia, więc mam dla ciebie nowe zadanie: chcę, żebyś pomagała tym ludziom, którzy walczą w Kościele z nadużyciami seksualnym.

Mam bardzo dobrego kierownika duchowego, który chce, abym dzwoniła do niego codziennie, aby sprawdzić, czy wszystko w porządku i on potwierdził, że to, co rozeznałam to właśnie to, co Bóg chciał, abym teraz zrobiła. Mam w sobie dużo energii, aby pracować nad tym. To niesamowicie frustrujące zadanie, a liczba sukcesów jest bardzo znikoma.

Praca z ludźmi, którzy byli wykorzystywani seksualnie przez księży, jest inspirująca na wiele sposobów. Prawdę mówiąc większość z nich zachowuje swoją wiarę i to jest dla mnie niewiarygodne, po tym jak zostali potraktowani. Nadal znajdują swoje pocieszenie w Panu. Wielu z nich ma trudności w powrocie do Kościoła, bo wiele skojarzeń z ich wykorzystywaniem jest związanych z mszą, różańcem lub czymś innym, co użyto w ich przypadku. Jest niewiarygodne to, że nadal kochają Pana i są pięknymi ludźmi. Powiedziałabym, że żadna z osób, z którymi miałam do czynienia nie żywi w sobie nienawiści. Oni po prostu chcą być zrozumiani, chcą być wysłuchani i chcą, aby sprawca został usunięty, aby nie mógł wykorzystać nikogo innego.

Biskupi w dużej mierze nie rozumieją tego i traktują ofiary bardzo źle. Korzystam z pozytywnych stron mojej rozpoznawalności i dzwonię do tych ofiar, którym często nikt nie chce wierzyć i mówię im, że chcę ich wysłuchać. To ich zaskakuje, że ktoś kto reprezentuje Kościół przejmując się ich historią. Mogę im dać taki mały prezent w postaci troski i wysłuchania. Słyszałam już wiele historii, więc zaczynam wiedzieć dużo o tym, jak to wpływa na tych ludzi, czego doświadczają, przechodząc przez proces wnoszenia skarg przed biskupem, jaka jest dynamika tego procesu i co należy dalej robić. Te elementy są podobne u większości ludzi.

Stale uczę się czegoś nowego, robię coś nowego i to sprawia, że czuję, że żyję. Do tego dochodzi odkrycie Mszy łacińskiej, która jest bardzo pozytywną stroną wszystkiego, ale dostrzegam pewne zagrożenia, które wywołują we mnie trochę niepokoju.

ZP: Wszystko kończy się dobrze, wszyscy powrócimy do Domu Ojca, więc nie ma powodu do niepokoju.

JS: To nie ja kontroluję sytuację, lecz Duch Święty ma nad wszystkim kontrolę, tego nauczyłam się przez lata.

ZP: Tak, ale Pani potrafi dobrze walczyć, dlatego Bóg może Panią w te wszystkie miejsca posyłać. Rozmawialiśmy też o pewnych stoczonych przez Panią bitwach z wydziałem teologii i jego pracownikami na poprzedniej uczelni. Jak wiele szkód wyrządziły Kościołowi i wiernym błędy teologów i ich niewłaściwe podejście do prawdy?

JS: Naprawdę bardzo wiele. Kiedy w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, kiedy wykładałam na Uniwersytecie Notre-Dame wskazywałam, że Kościół jasno naucza, że antykoncepcja jest zła. Mieliśmy przecież *Humanae vitae*. Oni wtedy mówili, że to nauczanie zdezaktualizowało się, a teologowie nie zgadzają się z nim, bo wystarczy spojrzeć na profesora X i jego zdanie na ten temat i wysokie stanowisko, które zajmuje.

Poglądy takie jak moje tam nie pasują. To oni stoją po stronie historii. Wtedy pojawił się Katechizm i był on ogromnym darem, ponieważ przynajmniej można było wskazać na Katechizm i powiedzieć, ale tu jest napisane to, co mówię. Dla tych teologów to było trudne. Naprawdę nie wiedzieli, co z tym zrobić, nie mieli tyle władzy co przedtem. Jan Paweł II dostarczył nam nawet nowej, nazwijmy to, amunicji do obrony przed tymi, którzy nie byli wierni nauczaniu Kościoła.

Do pewnego stopnia musieli się oni wycofać, co było dobre, ale panował kompletny bałagan dlatego, że ci teologowie byli na uniwersytetach, a także w instytutach papieskich i w seminariach. Początki niewierności nauczaniu Kościoła miały często źródło w Rzymie. Mówię o teologach takich jak Häring czy Fuchs. Ich nieprawowierność schodziła w dół. Oni mieli wśród swoich studentów ludzi z całego świata, uczyli na najlepszych uczelniach, a ich dawni studenci wykładali potem w seminariach. Odstępstwo od nauki Kościoła przybrało wielkie rozmiary, nie było sporadyczne.

Ci, którzy pozostali w pełni wierni Magisterium mieli naprawdę trudności ze znalezieniem zatrudnienia na uczelni lub w seminarium. Świeccy wierni zostali opuszczeni przez inteligencję, teologów, a potem także biskupów, którzy byli przez nich kształceni. W całych Stanach nie dało się znaleźć biskupa, który by stawał po stronie nauczania Kościoła w sprawie antykoncepcji. Była ich garstka. Osób przeciwnych antykoncepcji nie zatrudniano też w poradniach rodzinnych, a antykoncepcja była wręcz promowana w czasie nauk przedmażeńskich.

Świeccy nie mieli szansy usłyszeć niczego przeciwko antykoncepcji, wspólnego mieszkania przed ślubem, stosunkom pozamażeńskim, masturbacji czy homoseksualizmowi. Nie wspomina się o tym z ambony ani

na zajęciach z etyki na uniwersytetach, więc młode pokolenie nigdy o tym nie słyszało. Po moich wykładach najczęstszym zdaniem, które słyszę to: „Nie wiedziałem tego wszystkiego, dlaczego nikt wcześniej mi o tym nie mówił?”. Mogę tylko odpowiedzieć: Przykro mi, że nikt Ci tego nie powiedział. Tak wygląda nauczanie Kościoła, nie jest trudno je znaleźć. Przykro, że nikt ze sprawujących władzę w Kościele w tych minionych dekadach nie wskazał Ci go.

ZP: Czy sytuację odejścia od Magisterium pogarsza fakt, że wielu teologów nie jest kapłanami?

JS: Nie sądzę, szczerze mówiąc. Myślę, że księża są tak samo lub bardziej skłonni zejść z drogi posłuszeństwa nauczaniu Kościoła. Świeccy ludzie nosili ciężar stawania w obronie Kościoła, ponieważ nie przeszli przez cały skorumpowany system edukacji, który ukończyli księża. Dzisiaj szczególnie jeśli ksiądz wygłosi homilię przeciwko homoseksualizmowi, szansa, że zostanie wyrzucony ze stanu kapłańskiego w USA jest całkiem spora. Prawdopodobnie zostanie odstawiony na boczny tor.

To naprawdę ciekawe, że najbardziej gorliwymi obrońcami nauki Kościoła byli katolicy małżonkowie, którzy żyli zgodnie z nauką Kościoła, poświęcali się, zachowywali abstynencję, mieli duże rodziny i utrzymywali je z niewielkiej pensji, dokonując ogromnych poświęceń, by żyć w zgodzie z nauką Kościoła. Niektórzy księża byli zdeorientowani, ponieważ hierarchowie mówili, że to jest po prostu zbyt trudne i świeccy ludzie tego nie udźwigną, nie można oczekiwać, że ludzie będą ograniczani nie tylko poza małżeństwem, ale i w małżeństwie, to jest po prostu zbyt ciężkie.

A ci wszyscy świeccy katolicy mówili: my tak żyjemy, dajemy radę i to umacnia nasze małżeństwo, wzmacnia naszą wiarę. Dlatego gdy ludzie mówią, że to ci watykańscy staruszkowie żyjący w celibacie nakładają na świeckich obowiązek przestrzegania nauczania o antykoncepcji, mówię, że przez ostatnich 70 lat było wręcz odwrotnie. To świeccy bronili nauczania Kościoła.

Piotr Bednarski: Proszę wytłumaczyć, dlaczego katolicy mają wrażenie, że teologowie w dzisiejszych czasach, włączając tych zasiadających w Papieskiej Akademii Życia i innych instytucjach, nie zgadzają się z moralnym nauczaniem Kościoła w sprawie antykoncepcji, wskazując wyjątki, odrzucając pojęcia czynu wewnętrznie złego oraz umniejszając znaczenia

encykliki *Veritatis splendor*. Gdy papieżem był Paweł VI, dwie komisje były mu przeciwne, podobnie jak cenieni teologowie Harring i Fuchs, którzy opowiedzieli się po stronie zgody na antykoncepcję.

Dzisiaj przeżywamy odrodzenie nieprawomyślności. Czy może Pani skomentować, dlaczego ma to miejsce? Czy nie mamy Katechizmu Kościoła katolickiego? Czy płyną jakieś sygnały z Rzymu? Jak rozumieć to zamieszanie oraz to, że ludzie, którzy ze względu na swoje nieortodoksyjne poglądy dotąd stali z boku dzisiaj są w centrum debaty?

JS: Nie chciałabym wywoływać skandalu, jednak myślę, że stoi za tym fakt, że wielu kapłanów sprzeniewierzyło się swojemu powołaniu. Wielu hierarchów, członków episkopatu, prezbiterów wiedzie podwójne życie. Część z nich jest w relacjach homoseksualnych, inni heteroseksualnych i jeśli chcą je kontynuować nie mogą sprzeciwiać się antykoncepcji.

Nie wierzą w nauczanie Kościoła o seksualności i obawiam się, że nie tylko na ten temat mają odmienne zdanie. Chcą po prostu bronić swojego sposobu życia, a żeby to zrobić muszą twierdzić, że nie ma czynów złych samych w sobie i wystarczy tylko znaleźć odpowiednie uzasadnienie. Stawiają wstępną tezę, że ich życie seksualne jest dobre i następnie szukają argumentów na jej potwierdzenie. Co ma do tego antykoncepcja? Wygląda na to, że znaczna większość katolików stosuje antykoncepcję. Więc korzystając z tego, że to ich łączy z tymi katolikami, chcą ich przekonać, że to odrzucenie dotyczy nie tylko antykoncepcji, ale też kwestii czynów wewnętrznie złych i całej koncepcji celu ludzkiej seksualności oraz tego, że istnieje obiektywna moralność i obiektywna rzeczywistość.

Wiem, że ten temat jeszcze przed nami. Chodzi w tym też o to, czym jest sumienie. Teologowie całkowicie przededefiniowali pojęcie sumienia, aby pozwolić ludziom robić to, co uważają za najlepsze, działać nie w zgodzie z prawdą Bożą, ale w zgodzie z ich osobistymi wartościami. Stąd ich zdaniem bierze się ludzka godność. Przykro mi to mówić, ale myślę, że prawie wszystko to służy temu, aby nie musieć zmieniać swoich osobistych wyborów moralnych.

Często powtarzam to moim studentom, którzy myślą, że chodzi o to, by znaleźć dobry przekonujący ich argument. Trzeba jasno powiedzieć – fakt, że ludzie nie akceptują pewnych argumentów, nie oznacza, że nie są one dobre. Niektórzy ludzie nigdy nie zmieniają swojego stanowiska i nie ma znaczenia, ile dobrych argumentów wysuniemy przeciw ich podejściu. Oni i tak nie ustąpią. Dlatego nie należy myśleć: „gdybym tylko mógł znaleźć

właściwy argument...”, bo to nic nie da. Oni są oddani pewnemu stylowi życia, którego nie odrzucają.

W latach sześćdziesiątych Bernhard Häring w dużej mierze mówił o współczuciu. Wskazywał, że rozmawiał z kobietami, które miały wiele dzieci, bardzo trudne, biedne życie i były zmęczone. To było zanim ludzie naprawdę zrozumieli, jak niezwykle jest naturalne planowanie rodziny oraz to, że ono działa, wzmacnia małżeństwa, jest dobre dla ciała kobiety, jej psychiki i relacji. Myślałam, że częściowo ta metoda wiązała się też z tym współczuciem dla trudu rodzin posiadających wiele dzieci. W dzisiejszych czasach tego się już nie słyszy.

Jeśli mówi się o współczuciu to tylko wobec społeczności LGBTQ, która czuje się odrzucona i zmarginalizowana przez Kościół. Zauważmy znowu, gdy ktoś jest przeciwko antykoncepcji, to jest jasne, że musi też być przeciwko aktom homoseksualnym. Jeśli jednak ktoś zgadza się na antykoncepcję, to łatwo akceptuje akty homoseksualne. Wydaje mi się, że dziś wielu teologów moralnych zakłada *a priori*, że musimy chronić kruche poczucie własnej wartości członków społeczności LGBTQ. I musimy sprawić, by czuli się w pełni mile widziani. Oczywiście są mile widziani, oczywiście chcemy ich w Kościele, chcemy, by byli naszymi przyjaciółmi, chcemy razem działać, ale nie możemy powiedzieć, że akty homoseksualne są w zgodzie z Bożym planem dla seksualności. Po prostu nie możemy tego poprzec.

Wszystkie dowody wskazują, że jest na odwrót. A oni chcą powiedzieć, że aby naprawdę przyjąć i kochać ludzi, trzeba zaaprobować sytuację w ich życiu. Szczerze mówiąc, gdy moi bliscy zmagali się z pociągami do tej samej płci i zanim zaakceptowali nauczanie Kościoła, nie chodziłam, żeby dać im po głowie magisterium Kościoła. Pytam ich: czy jesteś szczęśliwy? Czy twoje życie idzie tak, jak chciałbyś, żeby szło? Czy czujesz się kochany? Czy czujesz szacunek do siebie? Czy masz poczucie własnej wartości? Zaczęli zdawać sobie sprawę, że ich nienawiść do Kościoła była tak naprawdę projekcją ich własnej nienawiści do siebie. Nie czuli się odpowiedzialni za swoją orientację, ale nie byli z niej zadowoleni i nie wiedzieli, co robić.

Czystość jest trudna dla każdego. Szczerze mówiąc nie znam nikogo, kto by powiedział, że zachowanie czystości to dla niego bułka z masłem. Każdemu jest ciężko, ale myślę, że jeszcze trudniejsze jest to dla tych, którzy mają pociąg do osób tej samej płci. Sądzę, że nauczyliśmy się wiele w Kościele o tym, jak dobrze podchodzić do osób w tej sytuacji, ale nie wyświadczymy im żadnego dobra, sugerując, że Bóg stworzył ich w ten

sposób, że to dobrze, że tego doświadczają i jest całkowicie dozwolone, aby wchodzić w relacje seksualne z osobami tej samej płci.

Wydaje mi się, że siłą napędową dzisiejszej teologii moralnej Kościoła jest to, jak znaleźć sposób na usprawiedliwienie związków homoseksualnych. Jeśli Kościół ma rację co do antykoncepcji, to nie możemy zgodzić się na homoseksualizm. Zatem teologowie chcą obalić to nauczanie i sądzą, że to nie będzie trudne, bo większość ludzi stosuje antykoncepcję, czyli przyznaje im rację. To właśnie się dzieje.

PB: Czy zgodzi się Pani, że polem bitwy w teologii moralnej i w życiu Kościoła jest pojęcie sumienia, które zgodnie z tradycyjnym nauczaniem Kościoła jest przyłgnięciem do prawdy obiektywnej, odkrytej przez nasze poznanie. To jest w przeciwieństwie do koncepcji sumienia, rozumianego bardzo subiektywnie, jako rodzaj samorozumienia, jak to określił Häring. Co znaczy być człowiekiem sumienia? Jan Paweł II wybrał jako motto: bądźcie ludźmi sumienia. Jak odróżnić to tradycyjne rozumienie sumienia w Magisterium Kościoła od tego proponowanego dzisiaj, także przez teologów z otoczenia papieża i tych spoza Watykanu? Czym się różnią? Jak rozumieć to nowe pojęcie sumienia, który oddala się od tradycyjnego rozumienia sumienia?

JS: To nie tyle oddalanie się, co stworzenie zupełnie nowego pojęcia. Tradycyjne rozumienie zgodne z Soborem Watykańskim II mówi, że sumienie jest wewnętrznym głosem Boga. W ten sposób zdajemy sobie sprawę, że podlegamy pewnemu prawu, którego sami nie stworzyliśmy. Więc gdy mówię o wsłuchiowaniu się w swoje sumienie, powinnam zapytać siebie: co Bóg myśli o tym czynie? W dzisiejszych czasach mamy tendencję, by pytać siebie: czy ja apróbuję ten czyn? To są zupełnie różne punkty wyjścia.

Co myśli o tym Bóg? Skąd wiedzieć, co Bóg myśli? Istnieje wiele sposobów: Bóg dał nam rozum, dał nam Objawienie i Kościół, więc mamy sposób poznania, co Bóg sądzi o danym czynie. Jan Paweł II dodałby do tego to, że powinniśmy patrzeć przez pryzmat naszej godności, bo jest ona blisko związana z sumieniem. Powiedziałaby: jeśli miałbym nałożyć prawo na siebie, co by to było? Jan Paweł II był przekonany, że jakiegokolwiek prawo ustanowiłbym dla siebie, biorąc pod uwagę, że jestem istotą rozumną, stworzoną na obraz i podobieństwo Boga i żyję w świecie, który jest uporządkowany w taki sposób, wymyśliłbym te same zasady, które wymyślił Bóg. Są to prawa, które są zgodne z moją ludzką naturą i z obiektywnym światem.

Gdy więc zastanawiam się, co Bóg myśli o cudzołóstwie, analizuję najpierw to, że jestem żonaty, że pragnę relacji z inną osobą – czy to właściwe? Dalej myślę: to byłoby świetne, mogłoby polepszyć moje małżeństwo, bo nie będę taki wymagający dla żony, będę miał kogoś, kto mnie uszczęśliwia i będę wracał do domu radosny, a nie przygnębiony, więc to chyba dobry pomysł. Wtedy ten małżonek słyszy, że Bóg nie zgadza się na cudzołożenie. Większość kultur na podstawie zdrowego rozsądku to uznaje. Jest to też obecne w Biblii i Kościele. Pyta więc: dlaczego miałoby to być złe?

Zaskakuje mnie to, że większość ludzi sądzi, że cudzołóstwo jest złe, choć sami mieli w przeszłości kilku partnerów seksualnych, nie będąc małżeństwem i sami nie czują, że seksualność powinna być zarezerwowana dla jednej osoby do końca życia. Mimo to, mają wielkie poczucie zdrady i bycia wykorzystanym, na myśl, że ich współmałżonek wszedłby w relację seksualną z kimś innym. Gdy uczyłam moich studentów o seksie pozamałżeńskim i pytałam ich: ilu z was chce, by wasz małżonek był wam wierny? Wszystkie ręce w górę. A ilu z was chce być wiernym swojemu małżonkowi? Znowu las rąk. Wtedy zapytałam: dlaczego nie zaczniecie już teraz? Pewnego dnia spotkacie osobę, którą pokochacie i czy nie byłoby cudownie powiedzieć tej osobie: wiedziałam, że kiedyś cię spotkam i wiedziałam, że zechcę dać ci siebie samą w sposób, w jaki nikomu wcześniej siebie nie ofiarowałam. I oni zaczęli rozumieć, że po to czeka się do ślubu, bo chcą mieć tę relację z osobą, którą będzie się kochać do końca życia i chcą, by ta osoba była im wierna. Skoro mogę być wierna teraz, to pokazuję w ten sposób, że będę wierna w małżeństwie. Dlaczego miałabym chcieć splamić ten dar, który zamierzam potem komuś ofiarować? Niestety w naszej kulturze seks dla większości ludzi jest czymś niedobrym. Myślą, że jest zły, jak pornografia. Jest jak wykorzystywanie kogoś i bycie wykorzystanym. A potem w jakiś cudowny sposób, po ślubie seks stanie się czysty i dobry. To tak nie działa.

Wracając do sumienia. Myślisz o cudzołóstwie i nagle zaczynasz rozumieć to, co mówiłam o wadze wierności w małżeństwie i jakie są argumenty za tym. Jest ich wiele. A konkretnie to, że pokazujesz siebie małżonkowi a to jest ważne w kontekście intymności, która wymaga zaufania polegającego na tym, że masz kogoś, kto da Tobie całą swoją energię i skupienie. A ty wzajemnie zrobisz to samo i poznacie siebie w bardzo głęboki sposób. Jednak, jeśli ta osoba zdradzi cię seksualnie, to jest prawie niemożliwe, aby w pełni otworzyć się przed nią, bo ta osoba zraniła cię tak bardzo, że nie masz już tego zaufania i otwartości, dlatego ta intymna więź powinna mieć miejsce małżeństwie.

Analizując kwestię sumienia, Jan Paweł II zadałby pytanie: „dlaczego zgadzam się z Bogiem, że cudzołóstwo jest złe? Bo całkowicie się zgadzam. I nawet gdy popełniam cudzołóstwo, to przyznaję, że to złe”. Nawet to myślenie jest w pewien sposób odejściem od nauki Kościoła, bo Kościół mówi, że tę prawdę nie jest ciężko zrozumieć. To coś uniwersalnego i obiektywnego – cudzołóstwo jest zawsze grzechem. Niestety, w naszym społeczeństwie – z powodu błędów w formacji ta wiedza nie jest łatwo dostępna.

Dzieci są w stanie bez trudu to pojąć: tata powinien kochać jedynie mamę, a mama tylko tatę. Dzieci rozumieją to od razu i mija sporo czasu zanim w ich życiu pojawia się myśl, że seks może być uprawiany z wieloma różnymi partnerami. To nazywamy synderezą, czyli świadomością istnienia obiektywnej prawdy. Rolą sumienia jest tu rozpoznanie, czy dane czyny są zgodne z tą uniwersalną prawdą. Cudzołożenie jest zawsze złe, stąd małżonek pyta siebie: czy nie nazbyt często wychodzę na lunch z sekretarką? Czy zagraża to wierności małżeńskiej?

Sumienie próbuje sprawdzić, jak dane zachowanie odnosi się do uniwersalnej prawdy, co nie jest trudnym zadaniem, jeśli nie zostało się źle uformowanym przez bliskich lub środowisko. Sumienie to ciągła rozmowa z Bogiem o tych uniwersalnych prawdach w odniesieniu do konkretnych rzeczy, które robimy, aby dowiedzieć się, czy są one zgodne. Nowoczesne podejście jest zupełnie inne.

Nie ma potrzeby rozmowy z Bogiem, nie ma poczucia obiektywnych norm, które są zakodowane w naszym rozumie i które każdy naturalnie zna i wie, że są dla nas dobre. Zamiast tego panuje wiara w nasze wybory na świecie, które dokonujemy w dobrej wierze i starając się tak, jak potrafimy. Dokonujemy różnych wyborów i to formuje nasze sumienie, jest ono pod wpływem naszych wyborów, naszych czasów, naszej kultury.

Na przykład większość młodych ludzi sądzi, że wspólne mieszkanie przed ślubem jest dobre, że to byłoby głupie, gdyby nie uprawiali seksu przed ślubem. W dzisiejszym społeczeństwie w USA większość ludzi tak robi, więc młodzi myślą: „skoro wszyscy tak robią to musi być dobre przygotowanie do małżeństwa, w takim razie, gdy ja też tak zrobię to jest coś bardzo dobrego”. Pewien młody człowiek powiedział mi: „Kościół ma prawo do swojej opinii, a ja do mojej”.

Kościół nie ma swojej opinii. To jest nauczanie. Następnie powiedział mi, że chce się pobrać w Kościele, więc zapytałam go: co to oznacza? Możesz wziąć ślub w kościele jako budynku, ale nie w Kościele, który jest Ciałem Chrystusa. Nie stajesz się członkiem Ciała Chrystusa, jeśli nie żyjesz

zgodnie z tym, czego On naucza. Nie da się być częścią Jego Ciała a jednocześnie mieszkać ze sobą przed ślubem. Myślę, że to do niego ostatecznie przemówiło.

W tym rozumieniu sumienie mówi, że to coś dobrego, bo ja sam tak myślę, że kocham tę osobę i mądrze byłoby sprawdzić, czy do siebie pasujemy poprzez wspólne zamieszkanie. Moje otoczenie robi tak samo, więc moje sumienie niczego mi nie wyrzuca. W ostatnio wydanej publikacji Papieskiej Akademii Życia, na temat teologii moralnej, liczącej 571 stron, pojawia się zupełnie inna wizja sumienia. Tą wizję wspaniale skomentowali kardynał Gerhard Müller i Stephan Kampowski na łamach czasopisma „First Things”. W piękny sposób napisali o tym, że nauczanie Kościoła na temat antykoncepcji jest prawdziwe, a to, że seks powinien być otwarty na dzieci jest obiektywną prawdą, choć nie wybrzmiewa bezpośrednio.

Według tej nowej teologii bardziej niż posłuszeństwa wobec obiektywnej prawdy, Bóg pragnie byśmy żyli w zgodzie z naszymi wartościami. To prawda, że są prawdy obiektywne, ale to nie nad nimi pracujemy. Nie mamy skupiać się na tym, jakie są prawdy obiektywne, w które mamy wierzyć, ale jakie są moje wartości, wartości w moim otoczeniu, które sprawiają, że uznaję coś za dobre. Mam żyć w zgodzie z tymi wartościami, które rozznaczałam jako dobre.

Na tym polega sumienie, nie na czytaniu encyklik, zgłębianiu Katechizmu czy słuchaniu Kościoła. Chodzi o to, by zrozumieć swoje wartości i żyć zgodnie z nimi. To jest to, co Kant nazywa heteronomią i Jan Paweł II pisał o tym w *Veritatis splendor*. Ktoś powie: „Gdybym żył w zgodzie z zaleceniem Kościoła, aby nie współżyć przed ślubem, nie byłbym sobie wierny. Pozwoliłbym komuś innemu dyktować mi zasady moralne zamiast żyć w zgodzie ze sobą”. Jednak takiego rozumowania nie stosują w dyskusji o rasizmie. Nikt nie twierdzi: „skoro naprawdę uważasz te rasy za gorsze, powinieneś je tak traktować”. Ci sami ludzie powiedzą w tej sytuacji: „Nie. To obiektywna prawda, że ludzie są równi i traktowanie kogoś z uprzedzeniami tylko ze względu na jego kolor skóry jest karygodne i sprzeczne z Bożą wizją godności człowieka. Powinieneś pozwolić Bogu ukształtować swoją perspektywę”.

Nawet gdyby to był ktoś, kto dorastał w miejscu, gdzie osoby konkretnej rasy stanowiły wysoki odsetek przestępców, a nawet ktoś z nich zrobił coś złego córce tej osoby, co naturalnie dawałoby jej powód do nienawiści. Kościół powiedziałaby: „odłóż te powody na bok, to tylko mała reprezentacja osób tej rasy, nie zachowali się w ten sposób ze względu na kolor skóry. Mylisz się całkowicie i jeśli takie są twoje wartości, mimo iż rozumiemy skąd

mogły się wziąć, są błędne i musisz je odłożyć na bok i pozwolić prawdzie uformować swoje przekonania”.

Oni tak mówią niemal wyłącznie, jeśli chodzi o tematy związane z seksualnością. Gdy wymienimy inny temat jak choćby zmiany klimatyczne, ruch LGBTQ, rasizm – na te kwestie jest tylko jeden właściwy światopogląd, ale w innych kwestiach trzeba już decydować zgodnie ze swoimi wartościami. Moim zdaniem to dostosowywanie prawdy do siebie. Żyją tak, by zawsze sobie ułatwiać. Propagują to, bo w przeciwnym razie musieliby się zmienić.

PB: To bardzo ważne, co Pani powiedziała, jednak z drugiej strony św. Tomasz z Akwinu twierdził, że sumienie może się mylić i błędnie rozpoznać rzeczywistość, bowiem akt moralny zawiera element poznawczy. To znaczy rozpoznajemy rzeczywistość i działamy zgodnie z tym, co rozpoznaliśmy. Rozumiem, że zgadza się Pani z tym, że pewne wybory moralne mogą być dokonane z błędnym sumieniem i mogą być usprawiedliwione, ale jak rozumiem to nie do takich sytuacji się Pani odnosiła? Z drugiej strony, rozumiem, że gdy człowiek nie dba o kształtowanie sumienia ponosi winę, bo mamy obowiązek szukania prawdy obiektywnej i właściwego rozpoznawania rzeczywistości. Czy mogłaby się Pani odnieść do tych zagadnień w duchu tego, co pisał św. Tomasz?

JS: To doskonałe pytanie. Ten pogląd na sumienie wykorzystuje się często, żeby przeforsować błędne rozumienie tego, czym jest sumienie. Kościół i św. Tomasz z Akwinu mówią, że należy zawsze podążać za swoim sumieniem, bo to ono jest naszym najwyższym autorytetem. Tak, należy być posłusznym sumieniu, nawet gdy się myli. Co to oznacza? Trzeba zacząć od sprawdzenia, jakie pytania sobie zadałem, żeby rozeznaczyć, co mówi moje sumienie. Czy to byłyby pytania: czy ja się z tym dobrze czuję? Co zrobić, żeby nie czuć się winnym? Nie! Pytanie powinno brzmieć: co Bóg o tym myśli?

Kiedy rozeznaję, co mówi mi sumienie, to chcę poznać, co Bóg myśli, co mówi mi Jego głos we mnie? Nie polega to na siedzeniu w pokoju i rozmyślaniu. Trzeba aktywnie poszukać odpowiedzi, konsultując dostępne źródła, aby dowiedzieć się, co Bóg o tym sądzi. Założmy, że ktoś doszedł do błędnej odpowiedzi. Idzie zapytać księdza, który wiele lat spędził w seminarium i który kocha Boga i pyta, czy w tym przypadku aborcja będzie w porządku. Ksiądz analizuje przypadek i mówi, że tak, w tej sytuacji to będzie w porządku.

Ta osoba, powiedzmy 14-latką, zrobiła, co mogła: spytała matkę, spytała o radę swojego kierownika duchowego i księdza. Wszyscy powiedzieli, że

aborcja w tym przypadku jest dobra. Czternastolatka nie sięgnie po katechizm i dokumenty Kościoła, raczej będzie pytać ludzi, którym ufa. W tym wypadku sumienie, które próbowała formować mówi jej, żeby dokonała aborcji, bo jeśli ucieknie i urodzi dziecko to będzie nieposłuszna wobec swoich rodziców, swojego kierownika i księdza.

Trzeba bardzo dokładnie przyjrzeć się sprawie, gdy ma się tego rodzaju wewnętrzne rozdarcie, ale musiałyby być ktoś, kto powie to temu dziecku. Więc przypuśćmy, że ta dziewczyna dokonała aborcji i kilka lat później ta młoda kobieta odkrywa ruch pro-life, dowiaduje się o rozwoju dziecka w łonie matki i mówi sobie: O mój Boże, nie miałam pojęcia, powiedziano mi, że to tylko zlepek komórek. Później dowiaduje się, że Kościół naucza, że aborcja jest zawsze zła i nie dowierza, że sama to zrobiła.

Idzie więc do spowiedzi, mówi księdzu, że miała wówczas 14 lat i dokonała aborcji. A kapłan zapewne prosi o to, by przytoczyła okoliczności i powie jej: bardzo mi przykro. Zostałaś wprowadzona w błąd i to prawda zabiłaś swoje dziecko, ale nie ponosisz za to moralnej odpowiedzialności. Postępowałaś najlepiej, jak potrafiłaś, jednak ten czyn nadal pozostaje zły, to nadal zabicie dziecka.

Nie mówimy, że skoro subiektywnie ta dziewczyna nie ponosi winy, to należy poklepać ją po ramieniu i powiedzieć, że dobrze zrobiła. Mówimy, że starała się, jak mogła najlepiej, ale wciąż to, co zrobiła było złe. Nie sądzę, by w tej sytuacji dostała pokutę za ten czyn, bo ta kobieta uważała, że to, co robi jest słuszne. Może dostać do odmówienia modlitwę, jeśli byłby tu jakiś czynnik winy.

Tak wygląda nauczanie Kościoła. Nie znaczy to, że o ile to się zgadza z twoim sumieniem, to jest to dobre. Kościół nie mówi: należy podążać za swoim sumieniem, nawet za błędnym i wówczas to, co zrobisz będzie właściwe. Kościół dokonuje rozróżnienia. Nie przeczytałam wszystkich z ponad 570 stron wspomnianej publikacji Papieskiej Akademii Życia, ale sprawdziłam wszędzie tam, gdzie można czy jest to rozróżnienie. Na podstawie mojej analizy stwierdziłam, że nie ma tam rozróżnienia na subiektywną i obiektywną winę. Dla Kościoła to ważne, że czyn jest obiektywnie zły i nie powinno się go nigdy popełniać. Jednak zakładamy, że ci, którzy są subiektywnie winni, wiedzą, że to, co zrobili było obiektywnie złe i nie rozumieją tego i dokonują wyboru, nie będąc dobrze ukształtowanym na temat tej obiektywnej prawdy.

To, co zrobili jest złe i to bardzo poważnie złe. Niestety młoda kobieta, która dokonała aborcji, mając 14 lat, która nie jest subiektywnie winna

najprawdopodobniej dużo wycierpiała i możliwe, że będzie cierpieć do końca życia przez to wydarzenie. To, że nie jest subiektywnie winna, nie znaczy, że nie będzie żyła z tym faktem zabicia swojego nienarodzonego dziecka. Chciałabym, żeby była od tego wolna, ale ludzka natura działa w ten sposób, że gdy zrobiliśmy coś bardzo złego, często cierpimy z tego powodu jeszcze długo później, a nawet do końca życia.

ZP: Czy dobrze rozumiem, że chodzi o cierpienie, bo ta osoba padła ofiarą czyjś grzechu, choć sama go nie popełniła?

JS: Dokładnie tak. Miałam znajomego, który prowadził centrum pomocy dla ciężarnych kobiet i organizował grupy wsparcia dla kobiet, które dokonały aborcji. Wiem od niego, że te kobiety były wręcz sparaliżowane w umiejętności podejmowania własnych decyzji, ponieważ wcześniej dokonały strasznej decyzji w swoim życiu i nie wiedziały już, komu mogą zaufać.

Bez względu na to jak rozumiały były okoliczności ich decyzji o aborcji, te kobiety pozostały z poczuciem, że nie ufają sobie i swoim decyzjom. Wątpiły, że jakiś mężczyzna może je pokochać z powodu tego, co zrobiły i czy będą w stanie kochać swoje dzieci, skoro jedno z nich tak potraktowały.

Wiele pracy kosztuje poprawa tego, w co o sobie wierzą, oczyszczenie tego i pokazanie, że mogą sobie ufać, mogą podejmować własne decyzje i znajdzie się mężczyzna, który je pokocha. Pozbywanie się tych fałszywych przekonań powoduje wiele cierpienia i jest bardzo trudne. Nagle dociera do tych kobiet to, co naprawdę zrobiły. Mogę im powiedzieć, że środowisko w jakim żyły, się do tego przyczyniło i wywierało presję, ale im nadal będzie ciężko się z tym uporać.

ZP: Jak to odnieść do koncepcji czynów, które są wewnętrznie złe? I jaki jest związek między obiektywną a subiektywną winą? Czy jest to tylko czynnik kształtowania czyjś sumienia poprzez dawanie mu do zrozumienia, że pewne czyny są zawsze wewnętrznie złe, czy też odgrywa pewną rolę w rozeznawaniu?

JS: Moja znajoma ma dużo dzieci, i gdy dorastają do wieku 18 lat, podejmuje z nimi rozmowę o tym kim są, kim chcą być i o tym, że teraz stają się odpowiedzialni za swoje moralne wybory. Mówi im, że jej zadaniem jest teraz, aby wyjaśnić, co ona jako dorosła osoba wie o prawdopodobnych konsekwencjach wyborów, jakie oni mogą dokonać. Profesor, który prowadził

zajęcia o Medei i Jazonie, mówiąc o obiektywnej rzeczywistości, powiedział: „jeśli na końcu nieruchomości znajduje się ogrodzenie elektryczne, ale ktoś o tym nie wie i go dotknie, to porazi go prąd. Brak wiedzy, że ogrodzenie jest pod napięciem, nie oznacza, że nie wystąpią konsekwencje”. Często używam takiego przykładu: jeśli ktoś umieści trującą w twojej szklance soku pomarańczowego, ale ty o tym nie wiesz i go wypijesz, to poniesiesz konsekwencje. Nie jesteś winny podjęcia złej decyzji o dotknięciu ogrodzenia elektrycznego i wypiciu soku pomarańczowego.

Ta matka powiedziała, że jej zadaniem wobec dzieci jest zidentyfikowanie tych ogrodzeń elektrycznych, które są na drodze decyzji, którą podejmują jej dzieci i wskazanie, co jest trującą w ich soku pomarańczowym. Mówi im: „jeśli zrobisz to, jeśli zamieszkas z tą młodą kobietą przed ślubem, to jest to ogrodzenie elektryczne i dotykając go, ryzykujesz porażenie prądem”. To dzieci podejmują decyzje, nie da się powstrzymać ich przed podejmowaniem decyzji, ale można je formować, dzięki czemu mają więcej informacji, które potem przydadzą się w ich rozumowaniu.

Tak więc pojęcie wewnętrznego zła jest niezwykle ważne. Kiedy młodzi studenci mówili profesorowi, że nie ma prawd obiektywnych, to zadał nam w odpowiedzi pytanie: jak budujemy mosty? Przecież musimy wiedzieć, że nie zbudujemy mostu z bibuły. Wykorzystujemy stal. Dlaczego akurat stal? Ponieważ stal ma pewne rzeczywiste właściwości i choćbyśmy bardzo chcieli zbudować most z bibuły, bo akurat mamy jej więcej i jest dużo tańsza to bibuła się po prostu nie sprawdzi.

Jak umieściliśmy ludzi na Księżycu? Mogliśmy to zrobić, ponieważ wiemy coś o rzeczywistości, a kiedy wiemy coś o rzeczywistości, możemy żyć w zgodzie z nią, co umożliwia skuteczne realizowanie planów. Tak samo jest z moralnością. Znamy prawdę o związkach międzyludzkich. Wiemy, że wspólne zamieszkanie i współżycie osób niebędących w małżeństwie nie jest dobre dla człowieka, nie służy nauce tego, jak być w związku i wytrwać w małżeństwie na całe życie.

Co ciekawe, kiedy rozmawiam z bardzo młodymi ludźmi, nastolatkami, a czasami nawet dwudziestolatkami to mówią, że naprawdę chcą stworzyć małżeństwo na całe życie. Nie chcą mieć trzech małżeństw. Nie ma mowy. Widzieli nieszczęście, sami go doświadczyli lub u swoich przyjaciół widzieli przez co przechodzi para, która się rozwodzi i jak nieszczęśliwe są ich dzieci.

Rodzice zawsze mówią, że dzieci mają się dobrze. Jest taka niesamowita książka napisana przez Leilę Miller *Pierwotna strata: Co mówią dorosłe dzieci rozwiedzionych*. Jest to seria świadectw dorosłych ludzi,

którzy opowiadają jak życie w rodzinie, w której ich rodzice rozwiedli się, wpłynęło na nich, na resztę ich życia. Dotyczyło to ich zdolności budowania relacji z innymi ludźmi, budowania zaufania. Co więcej, wiele dzieci obwinia się za rozwód i myśli, że rodzic, który odszedł, nie mógł ich naprawdę kochać, bo przecież mężczyzna nie zostawia tylko swojej żony, ale zostawia też swoje dzieci, kobieta nie zostawia tylko swojego męża, zostawia również swoje dzieci.

„Gdyby mnie naprawdę kochała, to by została, ale chyba nie może mnie kochać, nie kocha mego ojca i mnie też nie kocha, bo inaczej zostałaby przynajmniej dla mnie”. Poczucie tych dzieci, że są kochane bezwarunkowo i rodzic robi dla nich wszystko, zostaje zniszczone. Próbuje więc przekonać młodych, że to wszystko to prawdy obiektywne.

Żyjemy w świecie dotkniętym upadkiem, grzechem. Dlatego szczególnie w relacjach ludzkich nic nie jest na sto procent. To znaczy także że, ktoś mógł mieć wiele aborcji i mieszkać z osobą niebędącą małżonkiem, a potem się nawrócił i przeszedł całkowitą przemianę i żyje szczęśliwie. Zazwyczaj jednak w tle istnieje ogromne cierpienie. Mam przyjaciela, którego siostra była zamężna pięć razy i zawsze wydawała się bardzo pogodną, szczęśliwą osobą. Może była. Nie wiem. A może jest bardzo płytką.

Ludzie wskazują na nią i mówią: jej się udało, a ja powiem, że podejrzewam, że gdyby zejść głębiej, to okaże się, że nie ma nikogo szczęśliwego, kto pięć razy czy cztery razy przechodził przez rozwód. Dlaczego wchodził w związki i dlaczego z niego wychodził i jak to wpłynęło na dzieci. Ta kobieta wydaje się być bardzo szczęśliwa, gdy z się z nią rozmawia, ale ja mam co do tego wątpliwości.

PB: Przed tym programem rozmawiałem z matką trójki dzieci mieszkającą w Warszawie i powiedziała: mam pewne trudności w dyskusji z moim dorastającym synem, który nie wierzy w nasze powody zachowywania czystości przedmałżeńskiej, nie rozumie, dlaczego nie powinniśmy razem mieszkać przed ślubem i poczekać z seksem do ślubu. Czy mogłaby Pani podać dodatkowe dwa, trzy argumenty dla tej matki?

JS: Tym chłopakiem w dużej mierze kieruje to, że chce uprawiać seks. Należałoby go zapytać: jak bardzo kochasz tę kobietę? Czy mógłbyś mieć z nią związek, który nie wiąże się z seksem? Pamiętam, że młody człowiek był pytany w wywiadzie, czy kobieta, z którą teraz mieszka, jest kobietą, którą zamierza poślubić. Odpowiedział: „Nie, najpierw chcę jeszcze osiągnąć

kilka etapów kariery, ale mam swoje potrzeby seksualne, a ona jest ładna. W pewnym momencie, gdy będę chciał czegoś poważnego, znajdę kobietę, z którą zechcę być do końca życia”. Gdy powiedział to na głos, stwierdził: „Wychodzi na to, że jestem naprawdę okropną osobą”. Dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę, że wykorzystuje tą kobietę, choć oczywiście ona wyraża zgodę, cokolwiek to znaczy. Najprawdopodobniej ona ma nadzieję, że to będzie długoterminowy związek, a może ona również wykorzystuje go jako przystanek na drodze poszukiwania osoby, z którą naprawdę chce być. Czy nie lepiej byłoby poślubić osobę, która powie ci: „Czekałam na ciebie całe życie i wiedziałam, że się pojawisz, więc zachowałam swoją seksualność dla ciebie, to coś, co chcę robić tylko z tobą i nigdy nie myśleć, że ktoś przed tobą był lepszym kochankiem. To jest coś, czym dzielimy się tylko między nami, ja nie porównuję ciebie z nikim, a ty nie musisz się zastanawiać, czy ktoś przed tobą był lepszy”.

To też kwestia zaufania. Jeśli jesteś w stanie żyć w czystości przed ślubem, co jest niewiarygodnie trudne, zwłaszcza w naszej kulturze. Jeśli możesz sprostać, czemuś tak wielkiemu, to prawie zawsze dlatego, że bardzo szanujesz tę osobę. Zachowujesz czystość, bo uważasz, że nie chcesz by ta osoba przechodziła przez dramat związany z uprawieniem seksu poza małżeństwem, kiedy obie strony nie przyjęły jeszcze na siebie zobowiązań i mogą się rozejść choćby jutro. To nie może być dobre dla nikogo, a wręcz może być niszczące. Jeśli kocham tę osobę, nie chcę jej zniszczyć. Jeśli jej nie kocham, wykorzystuję ją. Taki mam wybór: albo nie kocham tej osoby i wykorzystuję ją albo kocham tę osobę i nie chcę, żeby zaszła w ciążę nie będąc w małżeństwie.

A kiedy słyszę w odpowiedzi: „jeśli zajdzie w ciążę, to z pewnością ją poślubię”, mówię tym ludziom: „to dlaczego nie chcecie się pobrać od razu, aby nie dopuścić do ewentualnej traumy związanej z zajściem w ciążę poza małżeństwem, związanej ze wspólnym zamieszkiwaniem przez półtora roku, a potem konieczności wyprowadzki?”. Nawet biorąc ślub, nie jesteś pewien, czy się żenisz, bo naprawdę starannie rozeznałeś ten związek, czy też płynnie wślizgujesz się w małżeństwo, bo „uprawiamy seks, wynajmujemy mieszkanie, mamy psa i kanapę i każdy wie, co do niego należy, więc chcę się ożenić, seks jest całkiem dobry, nie kłócimy się, więc równie dobrze możemy się pobrać”.

Znam ludzi, którzy tak mi mówili o swoim rozeznawaniu małżeństwa z osobą, z którą mieszkali przed ślubem. Jednak, kiedy się ożenisz, to jest zupełnie inna historia. Wcześniej drzwi pozostają zawsze trochę uchylone

i każdy może wyjść, kiedy tylko chce. Małżeństwo jest niesamowicie wyzwajające, bo oznacza, że znalazłem osobę, która chce spędzić ze mną resztę życia, podjęła ze mną zobowiązanie na całe życie i będziemy razem nad nim pracować, bez względu na to, jakie napotkamy problemy, będziemy je rozwiązywać, będziemy mieć dzieci, myśleliśmy o tym, dzielimy wartości i tak dalej. Wiem, że będzie ciężko, wszyscy nam mówią, że będzie ciężko, więc chyba faktycznie tak będzie. Ale jesteśmy przekonani, że możemy to przezwyciężyć w przeciwieństwie do mówienia, że tylko ze sobą mieszkamy, a jeśli będzie naprawdę ciężko mogą wyjść przez otwarte drzwi.

W takiej sytuacji cały czas naprawdę boisz się, że druga osoba może odejść, więc starasz się być lepszy niż jesteś, bo trwa nieustanne przesłuchiwanie kandydatów na bycie małżonkami. Nie chcesz, żeby druga osoba wiedziała, kim jesteś tak naprawdę, bo wiesz, że wówczas ona może odejść, dlatego wiedząc, że osoba, z którą mieszkasz, coś bardzo lubi, a ty nie, to i tak będziesz to robić, żeby zyskać jej przychyłność. Wtedy po ślubie zaczynasz pokazywać, kim naprawdę jesteś i widzisz, że drugiej osobie niezbyt się to podoba.

Jednak, jeśli nie mieszkacie i nie sypiacie ze sobą przed ślubem, zyskujecie niesamowitą wolność. Wracasz wtedy do domu, jadąc myślisz o tym, co się działo, jak się czułeś, czy ta osoba jest na pewno dla mnie, w domu rozmawiasz z matką, ojcem, najlepszym przyjacielem, siostrą i to pomaga poukładać sobie te wszystkie rzeczy.

Jeśli wieczorem kładziecie się razem do łóżka, można wiele pominąć. Nie chcecie się kłócić, idąc spać, nie chcecie kłótni przy śniadaniu, nie chcecie rozstania, dlatego ludzie o wielu rzeczach ze sobą nie rozmawiają, kiedy ze sobą mieszkają, choć powinni, aby dobrze zdecydować, czy powinni się pobrać. Na przykład, czy chcemy chodzić do kościoła? Często zdarza, że po roku lub dwóch małżeństwa jeden małżonek mówi: chcę wrócić do Kościoła i słyszy: „o co ci chodzi? Nigdy nie chodziliśmy do żadnego kościoła”. Ta małżonka mówi wtedy, że ma nadzieję, że niedługo powiększy się ich rodzina, że chce dzieci wychowywać w wierze, ale od swojego małżonka słyszy niedowierzanie i jego plany, by jeszcze poczekać z pięć lat z rodzeniem dzieci i podróżować. Kiedy argumentuje, że to najlepszy czas z punktu widzenia biologii, by powiększyć rodzinę, jeśli myśli się o posiadaniu 4 lub 5 dzieci, spotyka się z reakcją małżonka, który stanowczo zgadza się na nie więcej niż dwoje dzieci.

Rozmowy tak wielkiej wagi powinni byli odbyć dawno temu, długo zanim weszli w małżeństwo. W przeciągu pierwszych trzech miesięcy bycia

razem powinni usiąść nad tym tematem, powiedzieć, co dla nich ważne w tamtym momencie, nie mając jeszcze podparcia faktem, że nigdy się nie rozstaną. Małżeństwo daje taką poduszkę ochronną w postaci świadomości, że cokolwiek się wydarzy będziemy razem. Miałam znajomego, który tak to opisywał: „wiem, że każdy problem będziemy w stanie rozwiązać, bo nie wierzymy w rozwód”. Jednak, kiedy mieszka się razem przed ślubem, wierzy się, że taką intymną relację w każdej chwili można zakończyć i odejść, bo w rzeczywistości polega na testowaniu się nawzajem.

PB: Czy widzi Pani na Zachodzie i w USA postępującą nietolerancję wobec katolików i wobec prawa naturalnego? Czy dostrzega Pani prześladowanie lekarzy, nauczycieli i przedsiębiorców w miejscach pracy z powodu swoich przekonań? Czy ten proces ma miejsce w Stanach Zjednoczonych?

Czy może Pani odnieść się do zmian społecznych zmierzających przeciwko wolności chrześcijan i ich wartościom? Czy może to zagrozić stabilności miejsc pracy, jak miało to miejsce podczas debat nad Obamacare oraz dziś, gdy prezydent Biden forsuje prawo do aborcji dla wszystkich?

JS: Wracamy do kwestii wolności sumienia i wiele zależy od tego, co przez to rozumiemy. To pojęcie bazuje na założeniu, że istnieją pewne obiektywne prawdy i ludzie są gotowi na poświęcenia, aby zgodnie z nimi żyć. Ktoś może powiedzieć: „moje sumienie nie pozwala mi przeprowadzać aborcję”, albo wręcz: „chciałbym, bo zależy mi na tej pracy, ale nie jestem w stanie tego zrobić, bo istnieją te obiektywne prawdy”. Ci ludzie są bardzo wartościowi dla każdego społeczeństwa, bo takim ludziom znacznie trudniej będzie zostać nazistami.

Dzisiaj społeczeństwo mówi, że o ile nie zgodzisz się używać wszystkich wymaganych zaimków, o ile nie zgodzisz się na przeprowadzanie aborcji, o ile nie zgodzisz się pomóc komuś w procedurze zmiany płci, nie będziesz mógł zachować swojej pracy. Potrzebujemy ludzi, którzy powiedzą w tej sytuacji: ja tego nie zrobię, bo to jest błędne. W historii ludzkości byli ludzie, którzy uważali, że zrobią to, co władza im powie, żeby móc wieść wygodne życie. Bo jeśli nie będą działać tak, jak chce tego rząd, spadnie ich komfort życia. Nie chcemy tego rodzaju ludzi w naszym społeczeństwie.

Chcemy, aby ludzie żyli w zgodzie z obiektywnymi prawdami. Jednak dzisiaj często mówi się o sumieniu jako osobistych wartościach, więc stwierdzenie, że nie chcę przeprowadzać aborcji jest podobne do stwierdzenia, że nie podobają ci się zielone włosy. To osobiste preferencje. Dlaczego

mielibyśmy szanować twoje preferencje, a nie preferencje kobiet, które pragną aborcji. Twoje sumienie tu nie ma nic do rzeczy, to tylko twoje preferencje czy wartości.

To całkowicie inne podejście. Nie ma dobra i zła, więc jeśli ktoś czegoś nie chce to nie dlatego, że uważa to za złe, ale dlatego, że tak woli. Nie umiesz dobrze wyrażać wyborów moralnych, gdy mówisz, że nie chcesz czegoś, bo tobie to nie odpowiada i wolisz tego nie robić. Gubimy poczucie tego, czym jest sumienie, kiedy tracimy obiektywną rzeczywistość. Tak rozumiane prawo do wolności sumienia rozciąga się tylko na przypadki tego, co ktoś chce lub potrzebuje.

Gdy ktoś powie mi, że sumienie każe mu pomalować włosy na zielono, to powiem mu, żeby poszedł i je pomalował. To nie jest kwestia sumienia, tylko kwestia gustu. Jednak ludzie nie potrafią już robić tego rozróżnienia. Prawo do wolności sumienia tak szybko ulega zniszczeniu właśnie dlatego, że nie wierzymy w prawdy obiektywne i nie rozumiemy, czym naprawdę jest sumienie. Tłumaczymy sobie, że to prawo pozwala działać zgodnie z naszymi preferencjami, nawet kiedy jest to niezgodne z wyborem kogoś innego. Chcemy wolności dla każdego, lecz moja wolność wyboru, by czegoś nie robić, nie liczy się, kiedy społeczeństwo uważa aborcję za dobrą.

PB: Czy dobrze rozumiem, że dostrzega Pani w USA te postępujące prześladowania lekarzy i nauczycieli, którzy są zwalniani z pracy za to, że nie robią tego, co sprzeczne z ich sumieniem? Zatem klauzula sumienia lub inny rodzaj ochrony sumienia nie działa w niektórych przypadkach w Kalifornii lub Nowym Jorku. Czy jest to dostrzegalny proces w USA, bo przychodzi on powoli do Polski, ale w Stanach, z tego, co wiem były już konkretne przypadki zwolnionych osób, które odmówiły zgodnie z sumieniem.

JS: To rosnące zjawisko i widzieliśmy je już podczas pandemii. Byli lekarze, którzy chcieli zapobiegać hospitalizacjom pacjentów poprzez podawanie iwermektyny lub hydroksychlorochiny. Byli zdania, że stoją za tym odpowiednie badania i artykuły naukowe, ale rząd zdecydował, że te rozwiązania nie będą dopuszczalne. Niektórzy lekarze nadal utrzymywali, że to działa dla ich pacjentów, że leczyli 600 osób i stan każdego z nich poprawił się, nikt nie trafił do szpitala, a władze wciąż nie zgadzały się z tym i w efekcie tego stracili pracę.

Ci lekarze mieli liczne publikacje naukowe i nieskazitelną reputację, a mimo to spotkali się z odmową, bo to władza decyduje co wolno lekarzom.

To nie jest nowość, tak się dzisiaj dzieje. Od dawna młodzi ludzie nie chcą wybierać specjalizacji ginekologii i położnictwa, bo boją się, że będą zmuszani do wykonywania aborcji w czasie ich specjalizacji. Nie chcą toczyć tej walki bez końca, więc decydują się na inne gałęzie medycyny. Nie mogą powiedzieć, że sumienie nie pozwala im czegoś zrobić, bo jest to odbierane jako ich własne preferencje.

ZP: Czy tę walkę da się wygrać? Jeśli ci ludzie wybiorą ginekologię lub położnictwo i odmówią wykonywania tych zabiegów w czasie specjalizacji, czy będą mogli dostać dyplom?

JS: Ciemno widzę to, co nas czeka, na płaszczyźnie naturalnej. Trudno jest dostrzec możliwość wydostania się z bałaganu, w którym tkwimy. Oczywiście wierzę w Ducha Świętego, On wie, jak to zrobić i ufam Mu. Prawo naturalne broni się samo. Wystarczy spojrzeć na biznes związany z transgenderyzmem, gdzie kobiecy sport jest niszczonej przez mężczyzn, którzy są biologicznie mężczyznami, lecz twierdzą, że są kobietami, a niektórzy z nich nawet nie przechodzą żadnego rodzaju leczenia hormonalnego, zatem są w pełni mężczyznami. Z ich poziomem testosteronu, z taką budową mięśni mogą pokonać każdą kobietę na bieżni lub na basenie. To niszczy kobiecą rywalizację.

Matt Walsh, amerykański komentator mieszkający w Tennessee odkrył, że na Uniwersytecie Vanderbilt powstała klinika zajmująca się zmianą płci, która pozwala przeprowadzać na czternastoletnich dziewczynach podwójną mastektomię oraz pobierać z ramienia tkanki, by stworzyć z nich penisy. Istnieją nagrania, w których sami przyznają, że robią to, bo się opłaca, zarabiają olbrzymie kwoty na tych operacjach, bo po nich przez całe życie należy przychodzić na uzupełniające leczenie hormonami. To naprawdę rentowna dziedzina i przyznają to jej przedstawiciele, co ujawnił Matt Walsh.

Mam nadzieję, że prawo naturalne się obroni. Ojcowie i matki powiedzą, że to nieuczciwe wobec ich córek, które trenują, nawet znane feministki mówią, że to niszczy damski sport. Nie można na to pozwolić. W Tennessee stanowi legislatorzy będący rodzicami mówią, że nie ma mowy, żeby płacić za to na publicznej uczelni, że jest to szalone i chcą stworzyć prawo, które powstrzyma wykorzystywanie zagubionych czternastoletek, które uważają się za mężczyzn. W tym się przejawia powrót do prawa naturalnego.

Można się zastanawiać, jak do tego doszło, ale tak właśnie zniekształceni jesteśmy względem prawa naturalnego. Niewiarygodne, że dyrekcje szkół

lub szpitali mogłyby się na to zgodzić. To przecież racjonalni ludzie podejmują te decyzje, na przykład w komisji sportowej zasiadają ludzie, którzy rozważają przypadek siedemnastoletniego chłopaka, który chce rywalizować z dziewczynami i stwierdzają: „skoro mówi, że jest kobietą, musimy się zgodzić”. Co to za ludzie i co zrobili ze swoim mózgiem? Niektórzy z nich są rodzicami – czy naprawdę chcą tego dla swoich córek i synów?

Mam nadzieję, że stanie się tak jak w bajce *Nowe szaty cesarza*, w której cesarz został zwiedziony i nie miał pojęcia, że wychodzi przed ludzi bez ubrania. Jego nikczemni słudzy mówili mu, że ma na sobie piękny płaszcz i wygląda wspaniale. W rzeczywistości był nagi, ale wierzył im i poszedł na paradę absolutnie nagi, będąc przekonanym, że zdobią go najpiękniejsze szaty. Wówczas jakieś małe dziecko w tłumie zwróciło się do swojej matki: dlaczego cesarz nie ma ubrania? Wtedy wszyscy wokół przytaknęli, że też widzą cesarza bez ubrania.

Potrzeba było kogoś, kto powie to pierwszy. To naprawdę jest masowe złudzenie i życie w fałszywych przekonaniach. Wracamy do tematu moralności – ludzie mówią: „chcę robić to, na co mam ochotę, więc jak mógłbym powstrzymać cię przed robieniem tego, co ty chcesz”. Taką zasadę wyznają. „Wiem, że robię niemoralne rzeczy, że cudzołożę, że mieszkam z partnerką bez ślubu, używam antykoncepcji, oglądam pornografię, defrauduję pieniądze, oszukuję na podatkach, robię niemoralne rzeczy i jeśli zacznę głosić innym moralność, to się zwróci przeciwko mnie. Będę musiał się zmienić, a ja nie chcę się zmieniać”. Tego rodzaju myślenie kryje się za tym, że zgadzamy się na używanie toalet i przebierałni przez dziewczynki i chłopców i udział w zawodach zgodnie z tym, kim się czują. To nie ma sensu.

PB: Pani Profesor, to była dla nas wielka przyjemność. Czy na koniec zechciałaby Pani skierować do nas w Polsce kilka słów dobrej rady lub ostrzeżenia?

JS: Polegamy na Polsce. To jeden z krajów, który wciąż ma silne podstawy wiary i zdrowego rozsądku. Czuję, że zwracacie się do mnie, aby zobaczyć, jaka może być przyszłość, jeśli Polska całkowicie przejdzie na naszą stronę. Zaprzepaściliśmy nasze dziedzictwo dla naprawdę dewiacyjnej przyjemności seksualnej. Dziedzictwo, które mieliśmy w Stanach Zjednoczonych z niesamowitą Konstytucją, która zakłada wiarę w zwykłego człowieka i jego rozsądek, którym kieruje się, głosząc w wyborach. Te wartości były obecne w naszym kraju od początków jego istnienia, lecz w ciągu ostatnich 50 lat

i jeszcze gwałtowniej w ciągu ostatnich 10 lat całkowicie upadają i giną. Patrzymy na wiele krajów europejskich (Węgry, Polskę i kilka innych) i mówimy: proszę, nauczcie nas ponownie, jak żyć, co robić, bo my ponosimy właśnie sromotną porażkę i potrzebujemy wzorców do naśladowania. Jeśli Polska zdoła być najlepszą wersją siebie, to pomoże nam uratować się przed naszymi własnymi autodestrukcyjnymi tendencjami.

ZP: Wszystko w rękach Pana, my jesteśmy tylko naczyniami w Jego ręku. Walka, jak obiecał nam Pan, jest już wygrana, może nie dożyjemy tego, by to zobaczyć, ale to nie ma znaczenia, ważne jest to, że jesteśmy po właściwej stronie.

JS: Tak, to przywilej być w tej bitwie. Spędziłam dużą część życia myśląc, że zło zostało pokonane. Czasami myślę, że gdybym pisała autobiografię, choć nie mam tego w planach, to jej akcja toczyłaby się wokół konsekwencji karygodnej naiwności z mojej strony. Byłam bardzo naiwna co do obecności zła i trudności w jego eliminacji i czułam się bardzo bezpiecznie, że nie zostaniemy zaatakowani, że będziemy materialnie zamożni i tak dalej. Teraz czuję, że to wszystko, co dla mnie ważne, wisi na włosku i jest w rękach bardzo złych ludzi. Jest to czas mojego przebudzenia i nie jest to przyjemne, ale jak Pan powiedział, bitwa została wygrana.

Bóg wybrał nas, abyśmy żyli w tym czasie i jest to przywilej, aby być żołnierzem w armii Pana, nawet jeśli jesteśmy bici i okaleczani, a ja naprawdę wiodłam i wiodę łatwe życie. Kiedy czytam żywoty męczenników, myślę, że nie mogę sobie wyobrazić siebie z taką wytrzymałością, odwagą, wiernością i wytrwałością, ale Pan poprosił mnie o zrobienie tej małej rzeczy, więc zamierzam zrobić to jak najlepiej i mam nadzieję, że jeśli poprosi o większe rzeczy, to da mi łaskę, aby to zrobić.

PB: Dziękuję bardzo, pani profesor.